

JÓZEF BARAN

## Przystanek Marzenie (60)

(fragmenty)



### Nasza krótkowzroczna wrażliwość: Agadir

Gdyby przeżywać wszystkie troski, tragedie, katastrofy życiowe, smutki, choroby, nieszczęścia, śmierci bliźnich – wypadaloby chyba oszaleć, zwariować, wybuchnąć, wyskoczyć ze skóry lub spłonąć na stosie wrażliwości. Nie byłibyśmy w stanie takiego nałożenia wytrzymać. Dlatego z wiekiem i w miarę rozszerzania się świadomości, grubnie i twardnieje nam skóra, jak u nosorożców, staramy się żyć z zamkniętymi oczami i uszami, i tylko gdy nieszczęścia dotykają ludzi z bliskiego nam kręgu – nie przeżywamy ich fragmentarycznie, powierzchownie, ułamkowo...

Nasza krótkowzroczna wrażliwość – to jedyny ratunek, samoobrona.

„Bo przecież zdradą wobec osoby kochanej jest żyć dalej, gdy ona została pozbawiona życia” – skarżył mi się poeta Leszek Cz., którego żona zginęła w wypadku samochodu, który prowadził.

A jednak przeboleła i żyje dalej.

I my żyjemy, cieszymy się, kochamy, smakujemy potrawy serwowane przez istnienie, choć wokoło tyle nieszczęścia. Radośnie tańczymy naszą pieśń życia na prochach, na pobojowiskach. Cieszymy się z naszych małych „szczęść”, nie zauważając dookólnych globalnych nieszczęść, tsunami, trzęsienia ziemi, nie słysząc krzyków umierających, bitych, cierpiących i głodujących w dalekich krajach. Bo inaczej się nie da, bo to jedyny ratunek przed obłędem: nasza krótkowzroczna wrażliwość – zanotowałem jakiś czas temu w moim brulionie.

Agadir, największy marokański kurort nad Atlantykiem, wydaje się odpowiednim tłem dla podobnych refleksji. W 1960 w przeciągu kilkunastu minut straciło tu życie, wskutek trzęsienia ziemi, 15 tysięcy mieszkańców! Domy, ludzie, ulice, stragany – wszystko to zostało „strząśnięte” jak gruszki,

jabłka, pomarańcze z drzew na wskutek wichury. Pozostało gołe wzgórze, miasto zrównało się z ziemią. Dziś tamtą tragedię upamiętnia napis na widocznym z plaży hotelowej kopcu-wzgórzu. Napis jest ułożony z białych, podświetlonych nocą kamieni.

U stóp starego nieistniejącego Agadiru powstało nowe kurortowe czterdziestotysięczne miasto z pięknymi, szerokimi plażami, ciągnącymi się całymi kilometrami wzdłuż brzegów Atlantyku. Setki, dziesiątki tysięcy półnagich turystów wylega na nie. Najodważniejsi około południa wychodzą naprzeciw wzburzonym oceanicznym górom fal, tym bardziej że w tym roku wyjątkowo ciepło jak na marzec, około 28 stopni. Wieje ciepła bryza. Niemcy, Rosjanie, Holendrzy, Szwedzi, co uciekli ze swych zimnych krajów, starają się nałapać jak najwięcej słońca, pozwalają odetchnąć wszystkim porami, zmęczonej zimą i brakiem dostępu do wolnego powietrza, skórze. Tak jakby, sami o tym nie pamiętając, odprowadzali swój taniec życia prawie na ruinach, na kościach, na cmentarzu ofiar trzęsienia ziemi.

W pierwszych dniach, gdy spacerowałem brzegiem Atlantyku, u stóp cmentarnego kopca, byłem pewny, że arabskie litery ułożone z białych kamieni, to jakiś rodzaj islamskiego *memento mori*. Myliłem się. Napis brzmi: „Allah – Ojczyzna – Król”.

Dla muzułmanów śmierć zresztą nie istnieje, w ich wyobrażeniach religijnych jest tylko snem, z którego szybko się przebudzą, więc starają się nieboszczyka jak najrychlej – po siedmiokrotnym obmyciu jego ciała – oblec w rytualne szaty i pochować, nieraz natychmiast po wydaniu przez niego ostatniego oddechu, żeby mógł się obudzić jak najszybciej w raju. Bo jeśli był dobrym człowiekiem, to powinien się tam jak najrychlej znaleźć, a jak był zły – to należy go stąd jak najszybciej wykurzyć.

A gdy już jesteśmy przy islamskim niebie (w wyobrażeniach muzułmańskich istnieje tylko niebo i piekło; pojęcia czyścica brak)... Jakież konkretny, ziemski, bliski wszystkim zmysłom ten arabski raj! Z hurysami, ogrodami, pałacami. I jak przy nim abstrakcyjne, uduchowione, a więc mało wyraziste i sugestywne – niebo chrześcijan. Nie pachnie, nie kusy, nie przyzywa bajecznymi wizjami. Chrześcijanin powinien się przecież wyżyć żądz, grzesznych namiętności, a gdy się ich wyzbędzie, to czym odmaluje niebo – tu na Ziemi, gdzie jednak operujemy zmysłami? Powiedziałbym, że niebo Arabów jest o wiele bardziej konkretne i namacalne. Naiwnie obmyślane? Owszem, ale działające na wyobraźnię.

Wróćmy do starego i nowego Agadiru. Naprzeciw siebie – żywi i umarli. Jedni – na górze – leżą, a właściwie zostali już przemienieni w proch. Drudzy – na dole – skaczą, pływają, nurkują, prychają, opalają się. Pośród nimi ja. Przypomina się w tym momencie powiedzenie Anatola France’a, że

ludzkość składa się z niezliczonej ilości nieżyjących i małej ilości żyjących.

Póki co: tańczymy, śpiewamy, kąpiemy się, czerpiemy pełną piersią radość ze słonecznej pogody, sycimy oczy oceaniczną dalą i nasłuchujemy, jak na plaży trwa nieustający festyn i targ życia, inscenizowany codziennie przez Marokańczyków, którzy dokonują tu sztuczek nie lada, żeby wydoić z turystów jak najwięcej dirhemów. A potrafią to robić. Oj potrafią... Są w tej dziedzinie sztukmistrzami, magikami. Czary-mary i już ci wcisną bubel, wstawiając z czarodziejskim uśmiechem, że to „good price!”, „dobra cena!”. „Abrakadabra” i już nie wypłacą należnej reszty albo wypłacą w nieważnych dirhemach algierskich.

Wszędzie: na ulicach, na plażach, w sklepikach-butikach, przy straganach trwają targi, kupczenie, wstawianie turystom zawyżonej wartości towaru. Ceny są płynne, nie ma niczego stałego. Jest to dla mnie irytujące, gdy cokolwiek chcę kupić (np. okulary przeciwsłoneczne), zawsze pierwsza propozycja cenowa, która pada z ust Araba, jest dziesięciokrotnie wyższa, od realnej wartości. Czy istnieje zresztą coś takiego jak realna cena? A jeśli istnieje, to trzeba się o nią długo targować, żeby do jej granicy dojść.

Są znakomitymi psychologami, wykorzystują każdy moment nieuwagi, zawahania, kłamią jak z nut, po pierwszych reakcjach turysty orientują się w lot, na ile go można naciągnąć i czy wie, co naprawdę kupuje. Czy coś jest pozłacane czy złote, posrebrzane czy srebrne, z drogiego materiału czy z tandetnego? – „good price!”, „dobra cena!” – tyle usłyszę.

Są wszędzie, nawet na plaży, gdzie uwijają się, handlując muszlami, kamieniami z kobałtem czy ametystami, wykopanymi z Sahary; napojami, owocami, bawełnianymi koszulami... seksem. Tak, tak, na plażach kręci się pełno młodych Arabów, bez żenady oferujący samotnym Europejkom usługi erotyczne za euro. Wchodzą do morza, podpływają motorówkami – bystrzy, znakomicie zorientowani, która z pań jest sama, która z partnerem... choćby szli oboje od siebie oddaleni. Bystry Marokańczyk rozpozna natychmiast sytuację i wypatrzy samotną kobietę, a za chwilę ją zaczepi, nawet w morzu. Zajętej zaś nie będzie nagabywał. Jedna z Polek opowiadała, jak uciekała co sił w nogach, gdy wracając wieczorem z targu pustą uliczką, usłyszała propozycję seksualną od trzech arabskich podrostków. „Seks, seks, seks!” – ta natarczywa propozycja śniła się jej potem po nocach, bo niosła przy sobie torbę z pieniędzmi i paszportem, i obawiała się, że jej wyrwą z rąk. Gdyby nie ćwiczyła w szkole biegów sprinterskich, kto wie jak skończyłaby się ta nieprzewidziana randka w ciemno.

cdn.

